5ª 27 w. int I

B. M.

Z Dulfalvy nad Tagliamento.

Z pamiętnika oficera Legionów Polskich

[17 II 1918]

przeto.

Lecz co się ma stać?

Różne myśli nurtują i różne pomysły się wykluwają, zależnie od temperamentu i szczerości przyznawania się. U niektórych dysproporcya między zamierzeniem a możliwością wykonania jest olbrzymia. Tak, tak! Wszyscy chcielibyśmy tam być! Ale... Skrzydła padają! Luty, śniegi, mróz, brak prowiantów. Między nami a II Brygadą 250 km...

A do Polski? Granica Galicyi od północy również setki kilometrów oddalona.

Tembardziej, że wprawdzie chłop strzela a Pan Bóg kule nosi, lecz do stwierdzenia tego przysłowia w praktyce trzeba przedewszystkiem jednej rzeczy: kul. A tych nie ma...

Są wśród nas bardzo młodzi. Najszczęśliwsi! Bo dla tych ważenie sił i zamiarów nie istnieje – i ci mają złudy. Acz krótkotrwałe – lecz zawsze pomagające chwilowo.

Są i starsi, w których wzburzenie wewnętrzne, podniecenie, przesłania widok na rzeczywistość. Ból i żal – te uczucia, które w każdym wzmógł układ brzeski; potrzeba wyładowania energii, temperamentu, ten pierwszy odruch każdego skrzywdzonego, który zaciska pięści i rwąc szedł, parł, nacierał –

to przekrój stanu duchowego.

Lecz są - na szczęście - rozważni. Nie tacy, co tłumik nakładają, lecz tacy, co płomień skierowują tam, gdzie gorzeć winien, a nie tam, gdzie własny organizm opopiela.

Zebrało się nas kilkunastu. I sprowadzono zamysły i dążności do wspólnego mianownika.

Musi się stać, więc niechby się stało mądrze, z pożytkiem dla sprawy.

Po obiedzie cały korpus oficerski zbiera się w menażu. Każdy czuje: oto twój los się decyduje. Kończy się okres życia, zapoczątkowany przed 3 1/2 laty odzianiem szarego munduru legionowego, a poczyna nowy, przesłonięty chmurami, z poza których dolatują echa gromów... Czyżby to salwy z pod Łużan?...

Pułkownik odczytuje naszą deklaracyę.

Deklarujemy solidarność z całym narodem, który nie uznał 4-go rozbioru Polski, i z postępkiem oddziałów frontowych Legionów.

Kto za tą deklaracyą?

Oko biegnie po sali, po lasach, wyciągniętych w górę rękach.

- Wszyscy!

I rozeszliśmy się do kwater, zajęć. Stało się. Padło jedno słowo, a skończyło

za czyn. Tamci, za frontem, nie nie mówili, iż poszli. My, przedzieleni setkami kilometrów, musieliśmy tu sam czyn zawrzeć w formę słowa.

Musieliśmy! Pamiętam że tak byłby niewieszczy, gdybym pominął pewne odruchy serca i umysłu, które się przejawiły. więc i refleksyjność.

Czy tamci musieli? Pytało niejednego z nas sumienie. Czy była to jedyna droga?

Trzeba te pytania, te odruchy refleksyi, trzeba każdą wątpliwość dziś zostawić. Krytycyzm nie pomoże. Trzeba użyć banalnego słowa: historya osądzi...

Stało się i nam pozostały jeno konsekwencye. A te są jasne: nie ma II Brygady – nie ma Uzupełnień. To formalna strona. A zasadnicza: byliśmy ochotniczą formacyą, powstałą dla wywalczenia pełni praw i terytoryalnego rozwoju Polski. Zasadę tę obalili ci, z którymi ręka w rękę przez całą wojnę szliśmy – więc i podstawę naszej egzystencyi wywrócili, obalili. Czyż nasze istnienie choćby przez chwilę możliwe, gdy Czernin podpisał układ w Brześciu, okrawający Polskę?

Nam pozostały konsekwencye 2 faktów: układu brzeskiego i wypadków Rarańczańskich. Czerkin i Haller mieli inicyatywę – my konsekwencye.

Lecz te są jasne i nie ma w nich wahań.

Toteż wszystkie wątpliwości zniknąć muszą. W przełomowej chwili musimy

łyć jednolici, zwarci.

W tem poczuciu opuściliśmy zebranie oficerskie.

18. lutego 1918.

Wczesnym rankiem nas zagarnięto. Stało się to z dziwną szybkością i precyzyą. Uchwaliliśmy na zebraniu oficerskiem, że pułkownik naszą deklaracyę nazajutrz w drodze służbowej przedłoży generałowi-inspektorowi formacyj narodowych, urzędującemu w Dolinie.

Ledwo świt wybrał się pułkownik sańmi do Doliny. Lecz po drodze zawrócono go. Już wzdłuż gościńca i toru kolejowego rozsypaną była tyraliera austryackich batalionów; Bolechów i okolica były szczelnie zamknięte gęstym kordonem wojska.

20.000 żołnierza – jak się dowiedzieliśmy z ust autorytatywnych – posłano, by nas zagarnąć. Późną nocą, w Dolinie, byłem świadkiem sceny: przeciągał oddział austryacki; wtem z szeregów wyrwała się kobieta i rzuca w ramiona oficera, kroczącego na czele oddziału, ze słowami: Chwała Bogu! Żyjesz! Nie zamordowali cię legioniści! I zanosiła się od płaczu – radości...

Bolechów rankiem miał ponury wygląd. Gęste patrole z najeżonymi bagnetami sunęły po ulicach, na rynku ustawiła kompania karabiny maszy=nowe, na salinach [illegible] oddział wojsk, u wylotów miasta obozujące oddziały w pełnym rynsztunku.

Co kilka chwil auto szalonym pędem mknie po gościńcu; w gorączkowym pośpiechu idą gościńcem oficerowie austryaccy, wszyscy uzbrojeni ładowanymi rewolwerami.

Cóż za dysproporcya między temi bitewnemi przygotowaniami a skamienia=łością naszej postawy.

Kiepskimi psychologami byli ci, którzy tych 20.000 ludzi, mających nas zagarnąć, postawili w pełnej zbroi.

Przed zapadnięciem decyzyi naszej różnie się działo w duszach i sercach, i różne były pomysły, myśli, zachcenia. Ale teraz! Po naradzie, po ujedno-liceniu postępowania, po przemyśleniu sprawy!

Teraz wszyscy jednacy, twardzi lecz spokojni, w sobie zwarci a nie do zwady gotowi.

Tylko mali ludzie w ~~tak~~ chwilach decydujących złośliwi i wrzaskliwi.

Wkrótce zdziwienie ogarnia tych, których posłano, by nas zagarnęli i eskor-

kowali.

Już po śniadaniu dowiadujemy się, że w południe mają nasi żołnierze złożyć broń, a wszyscy mamy odmaszerować do Doliny. Jesteśmy aresztowani – jesteśmy jeńcami wojennymi.

Fakt, acz oczekiwany, jedynie możliwy – jednak silnie działający. Przejście z pełni swobód i praw do kompletnej utraty swobody poruszania się, choćby nawet było następstwem najszczęśliwszej okoliczności – zawsze ból niemal osobisty sprawia. Chwila skrzyżowania się wyrozumowania z nagą, brutalną rzeczywistością – jest straszna.

Ten ~~sierżant~~ feldwebel tam, którego wczoraj na ulicy ani spostrzegał lub mu się mechanicznie odkłaniał – dziś jest jakąś siłą, której zostałeś podporządkowany. List, który piszesz do rodziny, przejdzie alembik wszędo=wy, argusowe oczy wypatrywać będą między wierszami i słowami jakichś nie=domówień, wietrzyć za zdradą, knowaniem...

Po raz ostatni zbieramy się w menaży oficerskiej na obiad. Prędko każdy stara się uporać z jadłem, bo trzeba kuferek przygotować do wymarszu, wydać w oddziałach i instytucjach ostatnie dyspozycje, pożegnać się z gospodarstwem, u którego się kwaterowało i – schować broń osobistą...

Większość z nas tak zrobiła. Wojna XX stulecia zmieniła zasadniczo pojęcie wartości broni osobistej oficera. Z wyjątkiem rewolweru szabla wyłącznie stała się symbolem godności i stanu. W polu miesiącami szabli stalowej się nie widziało. Leżała gdzieś na wozie w taborze.

A jednak rozstanie się z szablą – straszne. Widziałem oficerów, twar=dych, zgoła nie sentymentalnych – którym oczy się zaszkliły, gdy przyszło rozstawać się z szablą... Kto co mógł, głęboko w piwnice lub strychy pocho=wał swą broń. W kilka dni potem miano ją nam – każdy o tem wiedział – oficjalnie, rewizyą, odebrać... Lepiej więc gdzieś ukryć, by kiedyś, gdy ucichną fale i wróci się w dom, choćby symbol uczestnictwa w Wielkiej Wojnie – broń, mieć u siebie.

Bezpośrednio po południu oddziały przeciągać poczynają przez miasto i ściągać na obszernej łące opodal dworca kolejowego. Po raz ostatni w or=dynku bojowym z bronią na ramieniu i u boku... Śpiewające suną wśród tłumów nasze oddziały. Dudnią po bruku, przytłumiają tę bezbrzeżną rozpacz, która jest w sercach, gdy się idzie gromadą na – złożenie broni... Coraz głoś=niej, huczniej, krzykliwiej brzmią śpiewy, jakby mózg dyktował gardzieli i strunom głosowym, by przygłuszały bicie serca i tłumiły te natrętnie

wracające i krążące myśli...

Wszystko, co w miasteczku czuje po polsku, ciągnie z żołnierzami naszymi. Głęboka szczerość maluje się na twarzach. Bo oto dokonuje się tragedya: świat [illegible] składa broń... Ci, co w Karpatach strażowali i na Dzikich Polach i na Wołyńskich szlakach – ci teraz, po 3½ letniej wojence, broń składają... Bo im honor i sumienie nie pozwala nosić tej broni bez przekonania o szczerości zamiarów tych, którzy broń tę dali, którzy są jej posiadaczami.

[illegible] wraca do posiadaczy... Podle odrzwi magazynu fasunkowego piętrzy się sterta karabinów. Żołnierz po żołnierzu przystawa koło sterty i ciska w nią swój oręż... I ani okrzyk ani łzy ze sterty nie idą – jeno głuchy łoskot żelaziw...

A potem wszyscy stają w ordynku na obszernej łące. Śniegi już zeszły, zrudziałe kępki zielska wysterczają z grząskiego błota, pokrywającego łąkę. W dwuszereg ustawieni stoją żołnierze, przed każdym oddziałem oficerowie. Na koniu przed frontem pułkownik i [illegible].

Po raz pierwszy od 3½ lat na widok zbliżającego się Komendanta nie ~~rozkazuje~~ wydaje najstarszy rangą oficer (rozkazu:) „Prezentuj broń!" Bo tej broni

nie ma... Jest tam opodal...

Lecz wszystko się pręży i na baczność staje. Broni w ręku nie ma, lecz serca są opancerzone i twarde jak stal.

Kilka słów pada, kilka mocnych słów – a potem z łąki wylatuje w przestwór pieśń. Rota... Nie damy ziemi... Tak nam dopomóż Bóg...

Każdy kurczowo mnie czapkę w dłoni – z ust buchają słowa – byle jak=najgłośniej, byle zdławić krzyk buntu i opanować coś, co za gardło ściska...

Kolumna szykuje się w pochód. Wnet obramiony jest jeżącymi się bagnetami: to eskorta nasza. Stanęli gęsto po obu stronach szeregów naszych, odcięli nas zupełnie...

Z łąki suniemy na gościniec. W tem –

... Gościńcem maszeruje oddział, który przybył, by nas rozbroić. Maszeruje – defiluje... To żołnierz składa hołd żołnierzowi...

Przysłano Kroatów – i ci przed pułkownikiem i nami... defilują! Prężą się wszyscy, postawa jak przy składaniu honorów wojskowych, twarz zwrócona ku pułkownikowi. Nagle poczynają śpiewać. Swą kroacką pieśń narodową. I tu się dusze zlały: eskortujący i eskortowani – każdy śpiewa swą narodową pieśń...

Zacierają się różnice, zacierają zwady — krzyżują się w powietrzu pieśni, i łączą hen pod stropem...

Wśród tej żywej, porywającej manifestacyi wyszliśmy z Bolechowa — —

Gościniec obstawiony mrowiem ludzkiem. Całe miasto, okolica — wszyscy. Płaczą, wyciągają ręce, powiewają chustkami. Cześć! cześć! — wołają.

Nareszcie jesteśmy na szczerem polu. Nareszcie! Bo już nerwy nie zniosłyby dłuższemu napięciu. Trzeba po tylu wrażeniach być sam ze sobą. Więc jakieś głuche milczenie, ciężkie milczenie pokryło kolumnę, wijącą się wzdłuż gościńca. Jno słychać przytup butów, dudnienie miarowego kroku... I tak w milczeniu idziemy w stronę Doliny. Kilkanaście kilometrów. Mgły wieczorne się wznoszą — ciemność otula wijącego się węża. I bagnety cokolwiek gdzieś w czarności się zapodziewają. Jno mróz tężeje i głucha tępota ogarnia duszę. Reakcya na rozluźnione nerwy; szybkie zmęczenie. Szło się czasem dłużej i dalej — i nie odczuwało w kościach tej ociężałości, jaka dziś się rozpiera po ciele. Tak, tak, organizm psychiczny reaguje; rozpręża się mechanizm

duchowy, który w ostatnich dniach tak był napięty! I nagle się to odbija na ciele.

Wreszcie, wreszcie, światełka. Dolina. Miasto spowite w ciemność; ino błyszczą światełka wzdłuż toru kolejowego.

Tam nas wiodą. Opodal z ciemności wyłaniają się drewniane baraki. To nowe nasze locum. Dobrze, dobrze! Byle ino legnąć i zasnąć, zapomnieć, nie widzieć, nie czuć i nie – myśleć.

Rzuciłem się na pryczę –

<u>Dolina 19. lutego 1918</u>

Rozglądamy się po izbie. (O ile to, co widać dokoła, izbą nazwać można.) Przez miniaturowe szybki okien wnikają promienie światła. Obok mnie na pryczy leży kapitan Szeranie. Ten stary, przeszło 60-letni Karpatczyk, co tę wojnę pociągnął mimo sędziwy wiek – teraz oto w nagrodę za swą gorliwość i trudy leży na tapczanie nieczyszczonym, otulony w derkę, w ten mroźny ranek zimowy, w baraku drewnianym, mając pięść za poduszkę...

Dobrze, kojąco ta siwizną przyprószona głowa działa. Jeśli ty, stary, wytrzymujesz – cóż dopiero my młodzi! I odrazu „męczeńskie” żałoby

przechodzą – odrazu sytuacya wydaje się znośniejsza.

Potem w baraku jest noc. Jedna obok drugiej. Właściwie niczego innego nie ma jak prycze. Ani stołów ani ławek. Legowisko obok legowiska. A na każdem śpi lub – w cichości snuje wątek myśli, rozsadzających mózg, człowiek.

Zbieram się i wychodzę przed barak. Posterunek... Na karabinie bagnet – chciałbym pójść do sąsiedniego baraku, odwiedzić kolegów – jak cień sunie za mną posterunek... Tak ciche to, bezgłośne, naturalne – a jednak do głębi wzburzające: ten cień, który ci dano, bez którego kroku nie zrobisz...

Już nie mamy eskorty kroackiej. Dano samych węgierskich żoł=nierzy, nie rozumiejących żadnego języka prócz węgierskiego, a i w tym używających jedynie frazesu: „nem sabat" (nie wolno). Spostrzeżono wczoraj, że słowiańska eskorta „niebezpieczna" – więc z miejsca w ciągu nocy ją zluzowano.

Powoli ożywa się obóz. Poczynają się żywe debaty nad naszą nową sytuacyą. Jeszcze żadnych represyi nie ma, jeszcze jesteśmy razem z naszymi żołnie=rzami. Starszyzna nasza postanawia, że póki można zachowujemy wewnętrzną spójń organizacyjną, poddajemy się rozkazom pułkownika, uważamy się za oddział.

Dolina, 20 lutego.

Od samego rana jakieś naprężenie. Nie wolno nikomu wyjść poza próg baraku, intensywność służby ochrony zwielokrotniała. Nie wiadomo na razie, co się stało, co przyczyną – i ta niewiadomość drażni.

W kilka godzin później rzecz się wyjaśnia: jesteśmy nie tylko więźniami, lecz mamy być traktowani jako... jeńcy wojenni.

Wprawdzie jesteśmy obywatelami austryackimi – conajmniej 80% – wprawdzie jesteśmy podatkowiczami, urzędnikami itd – lecz cóż to znaczy? Jakaś mądrość referenta w jakiejś wysokiej komendzie uznała nas za jeńców... I zapewne już jakiś hemoroidaryusz ministeryalny biedzi się nad kwestyą „szczegółowych instrukcyi" dla austryackich poddanych, będących jeńcami – austryackimi...

Jako jeńcy mamy być odrutowani. I stąd ta nagła ostrość, te zaostrzenia, które wprowadzono. Resztkę broni osobistej ma się oddać i wleźć za druty.

Kompania żołnierzy austr. już do dzieła przystąpiła. Dokoła baraku już leżą paliki, które wbija się w ziemię i już zwoje drutu kolczaste=

go ostateczny barak.

Nowe to zarządzenie władz austryackich podaje nam pułkownik do wiadomości w sposób, który z nałogu trzeba nazwać uroczystym.

Smutna to uroczystość... Tak jakbyś był na pogrzebie...

Przed barakami zbiera się nasz żołnierz. Staje w szyku rozwiniętym, z boku oficerowie. Dziwnie szybko w ostatnich kilku dniach poorały się twarze, a dziś na nich bruzdy głębokie.

Głos pułkownika się załamuje i drży, gdy mówi te ważkie słowa:

...Naczelna Komenda Armii austr.-węg. rozporządzeniem z 19 marca rozwiązała Polski Korpus Posiłkowy...

... Komendant 7. armii wdrożył przeciw nam wszystkim dochodzenia sądowe o bunt i o organizacyę dezercyi...

... Komenda Armii zarządziła, że mamy być traktowani jako jeńcy wojenni...

Dziwne: umysł chwyta te ciężkie słowa, lecz duch się pod nimi nie ugina. Przeciwnie! Dostojeństwo ofiary za Polskę przenika każdego. Jesteś żołnierzem: więc albo giniesz albo idziesz w niewolę. Więc jesteśmy ze sobą w porządku. I to najważniejsze.

Toteż w miarę jak przybywa „stanu faktycznego" słownie się hartujemy. Czuje to też pułkownik, bo pod koniec swego obwieszczenia dodaje kilka mocnych, wcale sentymentalizmem nie zaprawionych słów. Drut, który nas otacza, nazywa – drutem honorowym; mówi o zaszczycie cierpienia za Ojczyznę.

Czuję, że nie przekora się we mnie budzi, lecz duma.

Wtem bucha pod niebo pieśń narodowa. Tak serca i dusze reagują na więzienie i drut=kajdany i spodziewane udręki. Wyładowują się w ślubowaniu hartu.

Dolina 21 lutego

Przyjechały dziś do nas panie z Bolechowa. Z dobrem słowem, poczciwem spojrzeniem i – co w naszej sytuacyi również pewną odgrywa rolę – z prowiantami i drobnymi przedmiotami codziennego użytku

W zasiekach kolczastych jest furtka. Stoją przed nią dwa posterunki i „urzęduje" podoficer austr.

Stanęły panie pod drutami, drżące z zimna, bo mróz siarczysty,

każda pod pachami nosi moc zawiniątek i śmieją się do nas. Śmieją przez łzy...

Nie popełnię herezyi, jeśli powiem, że — o ile chodzi o poczucie patryotyczne, o głębię uczucia narodowego — Polka obecnej generacyi wyżej stoi od ogółu mężczyzn. Oczywiście nie wolno tego generalizować. Ale przecież — z wyjątkami — tak jest. Do tego doszedłem przez r. 1917 pobytu w Królestwie, w Warszawie — o tem samem przekonałem się i w Bolechowie. Ci nieumundurowani mężczyźni obecnej polskiej generacyi, którzy po większej części lata wojny spędzili na proroctwie i — jałowym politykowaniu, ani się umyli do głębi uczucia patryotycznego Polki. Nie zawsze uczucie to przelewało się nurtem właściwym, niejednokrotnie szukało w histerycznych porywach; nie zawsze kobiety — właśnie odnośnie do Legionów — były sprawiedliwe w swej ocenie; niejednokrotnie dawały się brać na kawał agitacyi partyjnej, podszywającej się pod mundur legionowy; ale zawsze intencye były szczere i chęć służenia Sprawie widoczną.

Toteż bardzo miło, dobrze, kojąco, działa obecność kilku pań. Nagle czuję się, obwiedziony drutami i mając za jedynego „opiekuna" żołnie=

rza z najeżonym bagnetem – że jest ktoś, kto się tobą interesuje, że czyjeś serce dla cię puka.

Panie wniosły powiew rodzinny, poczucie łączności ze społecznością. Zabrały listy do rodzin, zaopatrzyły nas w prowiant, obiecały dostarczyć drobiazgów, koniecznych dla spędzenia „czasu niewoli".

Trzeba mi moc tych drobiazgów. Tak nagle się opuściło kwatery i tak trudno było wówczas myśleć o własnych potrzebach. Nie mam widelca i noża, nie mam manierki, trzeba igieł, nici i wiele innych drobnych rzeczy.

Ale przedewszystkiem: wysłałem dziś list do dzieci z zawiadomieniem, co ze mną.

Dolina 22 lutego

Pod wieczór wieść: opuszczamy Galicję i jutro wagonowanie; wywożą nas gdzieś na Węgry, do obozów koncentracyjnych. Tam już podobno umieszczeni ci, którzy nie zdołali przejść lub którzy – jak i my – byli zdala od frontu.

Koło furtki w drutach kolczastych rozgrywały się dziś

wzruszające sceny; przybyło moc ludzi. Błyskawicznie wieść o naszem internowaniu rozeszła się po kraju i zewsząd ściągają krewni, znajomi. Naznoszono moc jadła. Dobrze, że żołnierze nasi na razie nie odczuwają biedy.

Dolina 23 lutego

Przez dzień przygotowania do odmarszu.

Pod wieczór poczyna śnieg prószyć. Na podwórcu ustawia się kolumna oficerska. Jest nas setka. Zewsząd otaczają nas straże i ułany. Ciemno choć oko wykol, jeno bieleją się śniegi.

W milczeniu, okutani w derki przed śnieżycą i wichrem, rosnącym w miarę, jak opuszczamy zabudowania i wnikamy w szczere pola — suniemy po gościńcu.

Jest w nas i dokoła nas nastrój taki, jaki się setki razy ze zgrozą widziało na obrazach, przedstawiających pochody etapem na Sybir.

Ta ciemność, ta cisza, te śniegi i ten las bagnetów, błyszczących wszędy wokół i te miarowe kroki i te czarne, okutane postaci, dźwigające toboły — wszystko tamte dzieje przypomina...

Ktoś obok mnie na głos myśli i słyszę słowa:

– że też w Polsce każda idea czynu, każdy ruch zbrojny kończy się pochodem etapem do kryminału...

W oddali migocą światełka. To stacja kolejowa. Ku niej zmie=rzamy.

Na torze wąż wagonów. Ciemne, nieoświetlone.

Władowują nas wszystkich do trzech wagonów. Leżeć nie sposób, bo krótkie ławeczki, a zresztą i miejsca nie ma. Tyle ino, by siedzieć. Szyb brak, drzwi niedopasowane. Wiatr hula i śnieżyca wciska się do środka wagonu.

Po chwili ruszamy w ciemność.

<u>W wagonie, 24 lutego</u>

Jedziemy ku Karpatom. Robimy tę samą drogę, jeno w odwrotnym kierunku, jaką przebyły Legiony jesienią 1914 r i zimą 1915 r. Wówczas z Węgier przez Karpaty wypadaliśmy na tor kolejowy, wiodący ku Stanisławowi, wówczas traktem z Körösmező do Worochty, w Huculszczyźnie „ w Nadwórniańskie, pędziło się przed się nieprzyjaciela, wówczas głodem

okiem oddział pod wodzą Roji z Bohorodczan widział mury Stanisławowa — dziś jedziemy w przeciwnym kierunku. Wówczas jechaliśmy jako hufiec, spieszący z odsieczą — dziś tym samym szlakiem wracamy jako... jeńcy tego samego państwa, którego granic broniliśmy...

Ktoś złośliwie mówi:

— Legiony zrobiły ruch kołowy dookoła Polski, by wrócić do tej samej nasady, tej samej bazy operacyjnej, z której w październiku 1914 wyszły... Kiedyś wywagonowaliśmy w Huszt — dziś wracamy do Huszt...

Przejeżdżamy przez stacye, na widok których tyle, tyle wspomnień się tłoczy...

Oto Delatyn, oto Nadwórna, oto Worochta. Późną nocą dojeżdżamy do przełęczy Körösmezskiej. Kubek czarnej lury — to dzisiejszy obiad i kolacya, przygotowana przez „Verköstigungsstation".

Kości bolą. Jest się brudny i niewyspany. Zimno jest i ciemno. Siedzi się, skulony na twardej ławce, wsłuchuje w turkot kół i w myśli, tłoczące się po głowie...

Busztyaháza, 25 lutego

Nad ranem zjechaliśmy z Karpat w niż węgierski.

Busztyaháza. Byłem tu w grudniu 1914 r. Miasteczko witało nas jak zbawców. Moskale wtedy dotarli pod Taracz-köz, patrole kozackie niepokoiły okolicę, już już wnikając w niż. Panika ogarnęła węgierską inteligencyę Husztu, Busztyaházy, Nagy=szöllos. Tylko ruscy chłopi z nietajoną radością witali nietajców...

Dziś: quando mutatus ab illo...

Dziś na stacyi Busztyaháza kordon żołnierzy, który nas odtłacza do ciasnej izdebki i nie pozwala się ruszyć z miejsca. O śniadaniu nikt nie pomyślał, zimno jest i śnieg pada zmieszany z siekącym deszczem.

Czekamy. Godzinę – dwie – trzy. (Jakiś jej letonista niemiecki powie=dział swego czasu doskonale, że pojęcie militaryzmu da się zdefiniować dwoma wyrazami: czekać i maszerować; czekać wtedy, gdyby się chciało ma=szerować, a maszerować wtedy, gdyby się chciało poczekać...)

Nareszcie przyszła dyspozycya: Mamy być zamknięci w barakach ~~[illegible]~~ drewnianych, znajdujących się niedaleko dworca.

Grzęznąc po moczarach i błocisku docieramy do baraków. Bagaż zostaje. Nie wolno go wziąć ze sobą. Więc ani mydła ani ręcznika, ani papierosów,

ani części prowiantów, które każdy jeszcze ma w plecaku lub walizce.

Baraki gęsto obstawione żołnierzem, szczelnie obwiedzione drutem kolczastym.

Po chwili wtłoczyliśmy się do wnętrza izdebki. Jest tu już kilkunastu oficerów naszych, więzionych od kilku dni. Izdebka może pomieścić najwyżej kilkunastu ludzi, a nas jest 100 oficerów... Nie ma gdzie usiąść, nie ma pryczy, prócz kilku, które sobie sporządzili koledzy, wcześniej do tego apartamentu wwiedzeni. Żołnierzy naszych popędzono do innych baraków, odcinając nas zupełnie od nich.

W nieopisanym ścisku czekamy, co będzie dalej. Jesteśmy przemoczeni, nieumyci, niewywczasowani po podróży w wagonach zimnych, nie jedliśmy dziś jeszcze, płaszcza zdjąć nie można, bo gdzie go powiesić... Stoimy w izbie i czekamy... Mija pora obiadowa, mija popołudnie, zmierzch zapada... Nic. Tylko u wejścia do baraku lśnią się bagnety austryackie, a gdy się chce pójść do latryny, to po jednemu i to w asystencyi...

Władza opiekuńcza niewidoczna... Pod wieczór posyłamy po nią. Zjawia się leutnant-węgier, nie władający innym językiem jak macierzystym. Na szczęście jeden z naszych oficerów kaleczy po węgiersku. Więc żądamy jadła i możności przespania się. I znów czekamy...

Późnym wieczorem doczekaliśmy się. Rzucono w barak zwój wiór, mogą=cych starczyć dla kilku oficerów, a przeznaczony na podściółkę dla 100. Tyle ino, by wszyscy wiór podłożyć pod głowę... Wniesiono kocioł strawy. Bucha z kotła para, ino że podejrzane idą zeń zapachy. Po dwu dniach głodu otrzymuje=my – po miseczce rozgotowanej, zgniłej kapusty. Byli tacy, co mimo głodu, szarpiącego wnętrzności, tego gotowadła, któregoby u nas wieprze nie tknęły, nie wzięli; ze wstrętu poprostu. Lecz większość przezwyciężyła odrazę i jadła...

A potem w płaszczach na podłogę, pokrytą grubą warstwą naniesionego przez dzień błota... Spaliśmy cudnie.

Dulfalva, 26. lutego

Przed wschodem słońca nas zbudzono. Zrywa się człowiek z deski, rozprostowuje członki, bolące z twardego posłania i – w pochód. Jeszcze mrok panuje. Ani się umył, ani śniadał. Stoi setka oficerów na śniegu, pomieszanym obficie błotem, ota=cza nas oddział węg. żołnierzy z nadzianymi bagnetami i – w pochód.

Mamy dziś nareszcie dostać się do miejsca stałego pobytu tj. do więzienia na stałe. Dobrze, doskonale. Byle ino skończyła się ta włóczęga, te beznadziejne etapy, to ponie=

wieranie się z rąk do rąk. Nawet bandyta przychwytany ma prawo do więzienia. A my wprawdzie „zdrajcy stanu", lecz nie złodzieje, bandyci… To prawda, w oczach c. i k. oficerów – przynajmniej niektórych – gorsi jesteśmy od złodziei, bandytów. Wczoraj np. pan kapitan, garujący się w hinterlandzie na wygodnej posadzie naczelnika obozu internowanych w Busztyaháza, głośno wypowiedział, coby z nami należało zrobić. „Gdyby to ode mnie zależało – powiedział ten rycerz – tobym tę całą bandę – to jest nas, którzyśmy przez 3½ lat byli na usługach monarchii i w setkach bitew i potyczek brali udział – całą tę bandę bym wyprowadził z baraku na tą łąkę, ustawił szereg karabinów maszynowych i wszystkich powystrzelał…"

Niestety te rycerskie zapędy pana kapitana (niemieckiego szlachcica, dumnie przed swem nazwiskiem noszącego tytuł „Edler von") nie ziszczają się. Jeszcześmy tak daleko nie połapili, aby oficerów bez sądu karabinami maszynowymi wy=strzeliwać…

Mętne mgły włóczą się po dolinie, którą maszerujemy. Przejmujący panuje chłód, im dalej tem głębiej grzęźniemy w błota. Mijamy zaspane, ciche wioski karpackie i dostajemy się w dolinę Talabom. Wije się przez nią rzeczka górska, a my coraz powolej, coraz ciężej posuwamy się naprzód. Już uszliśmy kilka=naście kilometrów, a jeszcze celu, tego zbawczego Kryminatu, nie widać. Dolica

za to robi się coraz cudniejsza. Dolina się zwęża; po obu stronach stają czarne lasy, a na przedzie potężny masyw Karpat, w biel śniegów zasnuty. Wioski coraz rzadziejsze, malutkie dymne chatki – odprowadzają nas jeszcze dalej od toru kolejowego, od szlaków kultury, zrywają nasz kontakt ze światem.

Wreszcie koło południa dostajemy się do Dulfalvy. Mijamy rzadką wioszczynę, bo nie w niej mamy być, lecz za nią, odosobnieni nawet od tych ciemnych mieszkańców karpackiej osady.

Za wioską stoi drewniany kościółek. Drowi Kunzekowi, naszemu lekarzowi-rzeźbiarzowi, pokraśniała twarz i z oczu strzeliły błyski, gdy to dzieło architektoniki ujrzał. Pod rozłożystym dębem gontyna, omszona, czcigodna...

Za cerkiewką błotnista łąka, a za nią – kryminał.

Otoczony zewsząd rowami barak drewniany. Zbudowali go przed rokiem Niemcy, jako przechodnią kwaterę dla przeciągających wojsk. Teraz ma służyć za więzienie dla nas. Barak jest urządzony dla żołnierzy, przewidywanie mających być umieszczonymi i to letnią porą – nie zaś dla stałego pobytu i to zimą. Drewniane ściany wcale nie uszczelnione; wiatr hasa po wnętrzu baraku; strop zbutwiały. Wewnętrzne urządzenie składa się jedynie z prycz i to o 2 kondygnacyach. Prycze mają wiązadła z

z drutu i wikliny. Na tem trzeba będzie leżeć... Słomy, wiór — nie ma. Nie ma też w baraku ani ławek ani stołów ani umywalni. Nic tylko pryczy z drucianemi sprężynami... I to więzienie na stałe? Ha, trudno, gdy się jest „zdrajcą", a traktowany gorzej zbója...

Pakujemy się po wyczerpującym marszu do wnętrza baraku, rzucamy się w zabłoconych po kolana spodniach na siatki druciane. Jest tak ciasno, że nie ma miejsca na pryczy dla każdego z nas. Po 2 musi spać na jednej pryczy...

Jedzenia nie ma. Będzie jutro... Jakiś funkcyonaryusz — tutejszy nasz duch opiekuńczy — tłumaczy się, że mu z Bukszałaga nie dano znać dokładnie kiedy przyjdziemy, i t.p. wymówki.

Niech tam!

W nocy tak zimno, że mimo zmęczenia spać nie można. Dygota się z zimna. Jest wprawdzie na środku baraku piec, ale od roku nie czyszczony, a przytem nasz opiekun nie wiedział przecież „dokładnie", kiedy przyjdziemy. Więc i głodno i chłodno i twardo.

Dulfalva, 27 lutego

Dziś nam obwieszczono, czego się mamy spodziewać w tem obozie

więzieniu. Jesteśmy nie tylko więźniami, ale i jeńcami. Więc nie otrzy=mujemy wiktu więzionych aresz. oficerów czy żołnierzy, lecz wikt jeńców tj. tylko 2 razy tygodniowo mięso i to koninę, żadnych ~~[illegible]~~ konserw, słodyczy itd, 1 bochenek chleba na 8 dni...

Do wsi chodzić nam nie wolno. Mieszkańcom wsi zabroniono „do baraku się zbliżać". Kommunikacya ze światem odbywać się może jedynie za pomocą poczty polowej; wolno nam jednak wysyłać tylko 1 pocztówkę i to 1 raz tygodniowo. Pocztówka ta jednak idzie do sądu, który orzeka, czy może być wysłaną...

Przed barakiem jest placyk. Na nim za dnia przebywać wolno. Z nastaniem mroku wszystko w baraku. Wszędy stoją posterunki, które mają rozkaz strzelania natychmiastowego, gdy się kto udaje poza obręb rowów, ota=czających barak...

Oto „porządek", któremu mamy się bezwzględnie podporządkować.

Od samego rana wre w baraku jak w ulu. „Urządzamy się." Nie na próżno przebyło się 2½ roku w polu, 2½ roku improwizacyi mieszkanio=wej! Legun ma rutynę w akomodowaniu się do mizery kwaterowej i wydobywaniu z minimalnego stanu maksymalnych efektów. Więc mimo

zakazy, rowy, straże, pustkę bijącą dookoła naszego kryminału — jakoś znalazło się trochę słomy i siana, kilka gwoździ i desek.

Ino ta ciasnota, to ohydna ciasnota! Jesteśmy jak śledzie w beczce. Nie ma gdzie rzeczy postawić; pod pryczą błoto, na pryczy się leży, nad pryczą druga kondygnacya, na której znowu dwóch kolegów leży. Stołów, ławek, szaf, półek, szaragów — nie ma. Zaduch okropny. Miotłą ciągle się sprząta i ciągle pełno błota i śmiecia. W baraku może się zmieścić co najwyżej 30 ludzi, a jest nas przeszło 100 oficerów, nie licząc ordynansów.

Na dworze plucha — śnieg z deszczem — więc wszystko musi się odbywać wewnątrz — a tu trącamy się łokciami, najeżdżamy na siebie przy każdym ruchu.

Obok baraku przybudówka. Urządzamy w niej jadalnię. Przybudówka służyła widać niemieckim żołnierzom zeszłego roku na łazienkę — został tego wielki piec i kilka drewnianych wanien — lecz nam przyda się na jadalnię. Właśnie piec i przestrzeń zyskana po zepchaniu wanien w jeden kąt.

W południe idziemy na „menaż". Ciekawe, co też nam po tylu dniach głodu podadzą nasi opiekunowie na obiad!

Obiadu nie tknęliśmy. Składał się z — lepkiej, gorzkiej, skiśniałej

masy, powstałej z wygotowania dyni zadeaserwowanej, niemożliwie cuchnącej...

Bardzo się chciało jeść – lecz nie sposób... Obrzydliwe! Ta śliska, lepka, żółtawa, cuchnąca masa – nie, nie!

Uzyskaliśmy natomiast wielką „zdobycz”: wolno nam zebrać między sobą pieniądze i wysłać jednego z wartowników do wsi, by tam zakupił dla nas prowiantów. Wprawdzie przy tych zakupach dzieją się... cuda (bo żołnierz kupujący dziwnie słabą ma pamięć i dziwnie często i często się myli), wprawdzie ceny horendalne – lecz za drogie pieniądze dostać można. Za 10–15 K dziennie będzie można nawet uchronić się przed głodem.

Wysyłamy więc ekspedycyę po chleb, którego się najadłszy odrazu zyskujemy inny humor...

Mam wrażenie, że im dalej w las, im dłużej w więzieniu, tem bardziej z wnętrz naszych wydobywać się poczynają popędy animalistyczne...

Kulfalva 1 marca

Tak jest! Animalizm górą. Trzeba jednak przeciwdziałać rozprzęga=

niu się instynktów li tylko animalistycznych, zapobiedz rozprzężeniu intelektualnemu, tej apatyi i zgnuśnieniu duchowemu, które się poczy=nają zakradać.

Więc w kilku uradziliśmy. Powstał – jakżeby w Polsce mogło być inaczej? – komitecik dla „podniesienia ducha". Wprawdzie powiada przysłowie, że droga do podniesienia ducha prowadzi przez napchanie brzu=cha – ale przysłowie to nie stosuje się chyba do pobytu w kryminale, bo po pierwsze, czem tu napchać brzuch, a powtóre choćby brzuch był napcha=ny, to i tak szarzyzna, jednolitość, brak ruchu, zmian, swobód, musi na umysł działać paraliżująco.

Postanowiliśmy więc zająć siebie i innych umysłowo. Zakładamy „kursa": francuskiego, niemieckiego, rosyjskiego, włoskiego. Ponadto codzień pod wieczór jeden z nas ma wykład na temat specyalny, bez wszystkich ~~[illegible]~~ interesujący.

Zaraz od jutra poczynamy. Dziś „zapisy".

Postanowiliśmy także ulepszyć środki do życia. Założyliśmy więc koo=peratywę, towarzystwo udziałowe – udział 20K – celem zakupna środków aprowizacyjnych i przedmiotów codziennego użytku: marmelada i mydło, ser i proszek do zębów...

Z miejsca zebrało się kilka tysięcy koron. Jutro poczynamy „rokowania” z naszymi opiekunami, mieszczącymi się we wsi, w chałupie, na której widnieje dumny napis „K u K Kriegsgefangenenlager Dulfalva” – rokowania zmierzające do uzyskania zezwolenia na zakupy.

Dulfalva, 2. marca

Dziś pierwszy dzień „kursów” i pierwszy wykład.

W środku baraku, między dwoma rzędami prycz, ustawiliśmy wąski, podługowaty stół. „Służy” się go wszystko, tak jak i dwie ławki. Co za postęp w umeblowaniu baraku, co za komfort!

Pod wieczór zasiadł za ławą pułkownik, zasiadła starszyzna; wieńcem stoją dokoła oficerowie, a ci z nas, których prycze blisko, na nich przykucnęli – i słuchamy. Chorąży wykłada o początkach kultury. Coraz gęściej kładną się cienie na prycze i ludzi, coraz bardziej spowija barak mrok – a tu gromadka więźni wsłuchana, cichutka, pokorniutka... Chwila zapomnienia, godzina odbie=żenia do rzeczywistości... Chorąży bardzo gruntownie i bardzo barwnie mówi o prymitywach kultury. Co za ironia losu! Siedzimy w kryminale; w czasie szczytu kultury i techniki wojennej, skazano nas na prymitywne życie barako=

wo=jaskiniowa, a tu wykwitła przed nami czar zamierzchłych czasów...

Dulfalva, 5. marca

Do pobliskiej wsi, Talabor, zjechali sędziowie śledczy. Mają się rozpo=
cząć nasze przesłuchiwania. Dowiadujemy się dopiero, jacy złoczyńcy byliśmy!
Nietylko jesteśmy oskarżeni o zdradę stanu, lecz również o spisek, o bunt,
o planową organizacyę dezercyi. Oficerowie austr. w Bolechowie wnieśli
przeciw nam doniesienie, że chcieliśmy napaść na magazyny, urządzić na=
pad na składy ammunicyi, zdobyć stacyę i tor kolejowy, pomaszerować do
Borysławia i zniszczyć szyby naftowe, że rozpuszczaliśmy setki legionistów
po kraju, po Chełmszczyźnie, aby tam działali rewolucyjnie.

Ha, trzeba się będzie bronić. Trzeba będzie w akcie oskarżenia ziarno
wyiskać z plewy. Bo my nie chcieliśmy więcej się bić po układzie brzeskim,
nie chcieliśmy być ochotniczą formacyą na wysługach tych, co okradli Polskę
— ale grabić i kraść nie chcieliśmy!

Popełniliśmy — ze stanowiska Austryi — może zdradę stanu, lecz rzezi=
mieszkami nie byliśmy.

Proces nasz ma tło narodowe, polityczne, a nie kryminalne. Więc mu=

śmy wszelkie zakusy, zmierzające do przedstawienia nas jako bandy kondo=tierów, odeprzeć.

W tym duchu będziemy się bronili. Niech nas sądzą za treść oświad=czenia, które złożyliśmy 17 lutego w Bolechowie. Za nic więcej!

Dulfalva, 7 marca

Z ludźmi, z którymi siedzę w więzieniu, żyję razem od 3 1/2 lat. Dzie=liliśmy wspólną dolę, zżyliśmy się. Lecz ich teraz nie poznaję, a właściwie: dopiero teraz poznaję. Co za niespodzianki! Co za zmiany! Jaka różnorodność typów, charakterów! Służba wojskowa – zdałoby się – niweluje; wszyscy w jednym mundurze, o jednakowym sposobie wyrażania się, życia, jednych drogach i celach.

A jednak jak tu inaczej! Dopiero tu wypełzły właściwości indywidualne, przez 3 1/2 lat podciągnięte pod strychulec służby wojennej. Tu – rzekłby można – rozprostowała się, rozprężyła niejedna indywidualność, wylazły instynkta, dławione murem służby wojskowej. Nieprzebrana studnia studyów nad duszą i charakterem ludzkim.

Dziwnie, jak niektórzy na życie więzienne reagują! Jak inaczej

niżby spodziewać się należało!

Jest np. jeden, który był świetnym administratorem. Bojowo zawsze mniej znaczył, ale kompanią swą rządził mądrze i zapobiegliwie. Zawsze był czynny. A teraz? Teraz podścielił pod siebie dwa koce i leży... Ani sposób go z pryczy wydostać. Jedzenie każe sobie podawać, myje się siedząc na pryczy. Leży przez 24 godzin na dobę. Wyciągnięty, w sobie skupiony, jakby fakir, nie reagujący na otoczenie...

Inny był leniem, co się zwie, strojnisiem i bawidamkiem. Był bardzo poszukiwany jako towarzysz w „mieszanem" towarzystwie. Grał na fortepianie i mandolinie, śpiewał francuskie kuplety, bawił prestidigitatorstwem, prawił panienkom komplementa, był zawsze starannie golony i czesany, nosił śnieżno-biały kołnierzyk i miał „szykowno" skrojoną bluzę i nienaganne bryczesy. Dziś? Zapuścił brodę; twarz ma jak ściernisko i — pracuje. Od rana do zmierzchu. Zawsze z książką. Nie tylko czyta, ale się uczy. Języków, techniki, przyrody itd.

Inny był milczek. Jest takich w wojsku wielu. Ludzie czynu, żałujący sobie i innym słów. Umie komenderować, mówić nie umie. Teraz — papla, gadatliwus. Jakby chciał przegadać swe sumienie, swe wnętrze. Od rana do nie=

czora ino mówi, zawsze z kimś konferuje, coś komuś perswaduje.

Jany był człowiekiem spokojnym, taktownym, takim dobrym chłopcem, co miał ino przyjaciół. Dziś burda, szukający wszędy zwady, zaczepki, drażliwy i wrażliwy, stale krzywdzony a sam stale krzywdzący. Co dzień ma „aferę honorową", co dzień wysyła sekundantów. Coraz bardziej natrętny, arogancki, prowokujący.

A inny znów uchodził za sybarytę, estetę życiowego, magistra elegantiarum. Petroniusz w kieszonkowem wydaniu. Dziś wyszukał sobie na podwórku placyk i począł rozkopywać ziemię. Projektuje miniaturową trasę kolejową, wznosi na przestrzeni kilku metrów nasyp, buduje mosty, wiadukty, w pocie czoła rozkopuje ziemię, znosi żwir, cały zababrany, umorusany.

Dziwne, dziwne zbiorowisko ludzkie! Bajeczne studya nad człowiekiem robi się w — Kryminale.

Dulfalva, 8 marca

Zastanawiałem się wczoraj nad innymi, opisywałem odmienność ich zachowania się. A nie dodałem, że i w sobie samym widzę dziwne zmiany psychiczne.

Mam wrażenie, że czułbym się nieszczęśliwym, gdyby mię zamknąć w samotnej celi – a jednak od szeregu dni niczego więcej nie pragnę jak takiej celi samotnej. Tęsknię, łaknę samotności...

Nie ma większej męczarni, jak takie gromadne więzienie. Być w jednej ubikacji ze 100 ludźmi, zawsze, wiecznie, w dzień i w noc, gdy się jest wesół i gdy smutno duszy – to okropne.

Chciałoby się ze sobą samym porozmawiać – nie sposób. Gdzie się ruszysz – człowiek. Obok, nad tobą.

Dziwnie drażniąca i drażliwa atmosfera się wytwarza. Najpoczciwsi ludzie poczynają [illegible]. Poczyna się dopatrywać właściwości i cech bliźniego, jakich się nie widziało, na które się nie zwracało poprzednio uwagi. Ten ma taki jakiś dziwny sposób mycia się, a tamten wciąż pogwizduje; ten wówczas, gdy myślisz, wpada jakimś banalnym konceptem, a tamten godzinami głośno liczy punkty pikiety, gdy ty chcesz pisać lub czytasz...

Wiele, wiele dałbym, gdybym mógł choćby kilka godzin na dobę spędzić sam... Choćby w celi, tym postrachu każdego więźnia.

Stało się to moją idée fixe. Czuję, że staję się coraz nieznośniejszym, dokuczliwszym, zjadliwszym, nerwowszym. Boleję nad tem. Wolałbym, by to nie

było. Lecz nerwy słabiejsze...

Widzę zresztą, że i inni nie są takimi, jak zwykle...

Dulfalva, 8 marca

Ostatnio sprowadzono do naszego baraku 16 oficerów 2 pułku ułanów. Sami Królewiacy. Dowiadujemy się, że w Synowódzku nasz pułk ułanów rozbrojono, austryackich poddanych wywieziono do c. k. armii na front włoski, zaś Królewiaków tu internowano.

Mam wśród nowo-przybyłych wielu przyjaciół jeszcze z czasów Rarańcza = Rakitny, z czasów wołyńskich. Cieszę się bardzo, bo wnoszą pierwiastek wysokiej kultury towarzyskiej. Cokolwiek by powiedzieć o użyteczności jazdy jako rodzaju broni w nowoczesnej wojnie, to pewne: korpus oficerski naszej konnicy wnosił zawsze i wyższy rozmach i wyższy poziom ogłady i kultury. Niewielu ich było, zgrali się, poprzyjaźniali – panuje wśród nich wyborowy „duch korpuśny".

Razem z nowo przybyłymi jest w baraku już kilkudziesięciu oficerów = Królewiaków. Smutne, bardzo smutne refleksye budzą się, gdy się widzi tę kompletną apatyę Królestwa wobec własnych poddanych... My, Galicyanie, czujemy tu, w kryminale, w więzieniach węgierskich, że za nami stoi cały kraj, cała jego

reprezentacya. Mamy tego przeliczne dowody. (Nie piszę tu rozmyślnie o zakulisowych akcyach — to kiedyindziej).

Ale ci Królewiacy — biedni! Nikt w Królestwie o nich się nie zatroszczył, nikt do nich nie przyjechał, nie napisał. Rada regencyjna milczy, rząd polski milczy, społeczeństwo milczy. My mamy już x dowodów akcyi Koła Polskiego, mamy składki całego społeczeństwa, mamy zakonspirowanych wysłanników, pocztę tajną, instrukcye, kontakt przez szereg szlachetnych kobiet, mamy dostawę pieniędzy i żywności. Ale Królestwo milczy...

Milczało, gdyśmy przed dwoma laty wkraczali w kraj i przemaszerowali ~~[illegible]~~ od Nidy po Styr — milczało, gdyśmy prosili o rekruta — milczało, gdyśmy zeszłego roku byli za tego kraju i chcieli być kadrą wojska polskiego.

Ale milczy i teraz, gdy siedzimy po 3 latach walk dla obrony granic Królestwa, w więzieniu, a z nami siedzą i obywatele Królestwa, poddani państwa, synowie i bracia ziemian i mieszczan Królestwa...

<u>Dulfalva, 10 marca</u>

Ksiądz Kozma odprawia dziś mszę polową.

Na podwórcu baraku ustawili nasi żołnierze ołtarz polowy. Pięknie

pokryli go kocami, przystroili choinę. Nasz kapelan bagaż swój w zawieruchach ostatnich po większej części postradał, ale kuferek z przyborami mszalnymi odratował i przywiózł ze sobą do więzienia. Przez 4 lata dźwigał ze sobą ten kuferek; od chwili, gdy wyszedł z nim do Kielc w sierpniu 1914 r. do chwili, gdy go postawił obok pryczy więziennej w Dulfalvie w lutym 1918 r. Przemierzył ten kuferek cały wschodni teren wojenny, całą Polskę... Ten cichy, prosty, naiwny Kapucyn w wyblakowanym brązowym habicie „zlegunizował się" doszczętnie z biegiem lat. Nic nie ujmę z powagi księdza – przecież w każdym calu legun. Jak zresztą i ks. Panaś i ks. Antosz.

Msze polowe w Legionach zawsze na mnie wywierały specjalny urok i budziły osobliwe nabożeństwo. Anim katolik, ani poza tem wierzący – a jednak właśnie w polu, właśnie w Legionach, byłem nie samym tylko świadkiem nabożeństw, lecz i wewnętrznie uczestnikiem. Czy instynktownie budziła się wśród grozy wojny potrzeba pewnej „katarsis" duchowej, a zaspakajała ją msza; czy było to miejsce i czas skupienia; czy dla mnie, żyjącego od dzieciństwa bez ceremoniału jakiegokolwiek religijnego, obchody te były uzupełnieniem pewnej luki psychicznych przeżyć; nie wiem. Faktem jednak jest, że je przeżywałem, że były mi potrzebą.

Nie pamiętam, by kiedy jednak msza takie wrażenie wywarła jak dzisiejsza.

Pamiętam ten chłodny ranek październikowy r. 1914, gdyśmy wywagonowali w Huszt i odrazu rzuceni zostali w odmęt walk. Wysypała się brać [illegible] z wagonów, chwytając za karabiny i już ruszyć miała przeciw patrolom kozackim, rzekomo szwendającym się wzdłuż toru kolejowego. I pamiętam tę mocną chwilę, gdy wśród mgieł porannych wychylił się nad klęczącymi kapelan, zrobił znak krzyża i wyrzekł słowa, których sens wówczas wżarł się w mózgi: „in articulo mortis...”

Pamiętam noc na pozycjach pod Ökörmező, noc wigilijną, spędzoną po raz pierwszy w polu, pasterkę, przerywaną dudnieniem armatniem i gwizdem kul karabinowych...

Pamiętam mszę żałobną w Karańczy, mszę za męczenników starej Ro=kitniańskiej; lato złociło pola a z serc szedł zamróz...

Pamiętam mszę odprawioną przez ks. biskupa Bandurskiego w odwiecz=nym borze ~~[illegible]~~ wołyńskim, na Kresach, nad Styrem, gdyśmy stali jeszcze tam, gdzieśmy widzieć radzi byli granice państwa...

Tyle, tyle razy potem msza była w Legionach i aktem religijnym dla wierzących i zarazem symbolem państwowo-twórczym, uświęceniem historji

i żądań współczesnych. Taką była msza w dzień 3 maja 1915, którą obchodzi=liśmy w Dobronowcach, na szlaku rycerzy Wołodyjowskiego, na rubieży Polski, na granicy besarabskiej; taką msza w rocznicę powstania styczniowego, obcho=dzona w r. 1916 w Wołczecku, na Podlasiu, na granicy wschodniej chełmszczyzny; taką msza dziękczynna w Baranowiczach, na granicy Litwy i Białorusi, w listopadzie r. 1916, po akcie 5 listopada; taką msza w maju 1917 r. w Warsza=wie, w kościele garnizonowym Legionów, przerobionym z cerkwi dla żołnierzy moskiewskich, w świątyni, o której mury po raz pierwszy od niemal setki lat odbijały się dźwięki modłów i pieśni polskich...

A jednak dzisiejsza msza do głębi, najmocniej wzruszyła. Widziałem to na twarzach wszystkich.

Śniegi bieleją po polach, śniegami przyprószone drzewa na stokach, śniegi opalizują na szczytach Karpat przed nami. Tam, za nimi kraj...

A tu, za górami, przed drewnianym barakiem, otoczeni rowem i drutem kolczastym, stoimy, garstka zapaleńców spętanych, wpatrzeni w ołtarzyk i biel sukienki księżej. Dzwonek tak krystalicznie brzmi... Wszystko głucho przypadło do ziemi... Taka cisza...

A potem tak wymowne, tak straszne wlatują słowa pieśni, której

Księga towarów

refren tak ponuro brzmi:

..."My w niewoli..."

Więc taki bilans czteroletnich zmagań? Więc po to tyle wysiłków, krwi, by potem znów stwierdzać: my w niewoli? Więc znów pocznie się okres tęsknot i snów o czynie, by wreszcie słowa pieśni przestały być aktualnym wspomnieniem a stały się historycznym refleksem?

Dulfalva 16 marca

Od kilku dni żyjemy w ciągłem naprężeniu. Codzień przynoszą z sądu kartkę, a na niej nazwiska oskarżonych, mających być przesłuchanymi. Pod osłoną bagnetów maszeruje się z Dulfalvy do Talaboru, gdzie siedziba audytorów. Pod wieczór wracają nasi oficerowie podnieceni i wyczerpani zarazem.

Dziś na mnie przyszła kolej. Zeznawałem bardzo obszernie. Odpierając zakusy, by naszą sprawę zrobić aferą bandytyzmu lub nadać jej czysto wojskowy charakter oderwanego buntu, dezercyi i t.d. – przesuwałem w zeznaniach punkt ciężkości na tory zasadnicze, na ogólny, polityczny charakter sprawy.

Mam wrażenie, że nasze wyjaśnienia rozproszą perfidyę, rozszerzającą akt oskarżenia na czyny hańbiące i ograniczą oskarżenie na czyn polityczny, płynący z szlachetnych motywów. Jeśli 100 oficerów zezna, że nie o rozboje,

plądrowania, niweczenie chodziło, lecz że źródła buntu głębsze, że podstawy ruchu są uzgodnione z wolą i postawą całego narodu – myślę, że oskarżyciele nasi będą zblamowani a my wolni. Boć przecie całego narodu nie zamkną do kryminału?

Nülfalva, 18 marca

Po przesłuchaniach nastąpiło psychiczne rozprężenie. Nudno jest i głupio. Poczyna się czekanie na decyzyę sądu. Ponoś cały materyał poddają studyom, sortują zeznania, sprowadzają do wspólnego mianownika i mają wyciągnąć wnioski.

Tak, w kancelaryach audytorów wre praca – ale tu w więzieniu dni szare, jednostajne, nudne.

Przez ostatnie lata żyło się pracowito, było bystro ruchu, emocyi, zmian – że ta szarość bytu więziennego podwójnie ciąży.

Nülfalva, 24 marca

Palmowa niedziela. Nasze msze niedzielne stają się coraz bardziej świętem dla okolicznych włościan. Łąka między naszym barakiem a drewnianą cerkiewką co niedziela już od wczesnego ranka zapełnia się różnobarwnym tłumem. Ściągają zewsząd ludzie, by przypatrzeć

się nabożeństwa, odprawianemu przez ks. Kośmę. Ten ciemny lud podgórski, gwałtem madiaryzowany i zaprawdę nie mający ani krzty zrozumienia dla kategorycznych imperatywów, idących zarówno z Budapesztu jak i Kijowa — widzi w nas tylko ludzi, którzy „skończyli wojnę", bo oparli się dalszemu jej prowadzeniu. Wola ludowa, by ta wojna wreszcie się skończyła, a z nią drożyzna, braki, rozłąka rodzin, rany i „listy strat" — nigdzie jaskrawiej się mi nie uwidoczniła, jak w tej naiwnej sympatyi chłopstwa tutejszego dla tych, co rozbrojeni, tych, których świetny rząd trzyma pod kluczem.

Podczas nabożeństwa półkolem stoją na tłoce; kobiety przez cały czas mszy klęczą, chłopi w jasnych baranich kożuchach stoją zapamiętali i biją pokłony i po trzykroć się żegnają...

A z przestworza, od południa, od [illegible], idzie już przedwiośnie, idzie powiew ciepła...

Z lasów wytraca się śnieg, ino na szczytach opalizuje. Zbrudziałe kępy traw wydawać poczynają woń. Ziemia poczyna oddychać; czasem [illegible] ciepły przeleci powiew; czasem przez kilka godzin mamy złudę prawdziwej już wiosny.

Poczyna nam się robić ciasno i duszno w baraku. Godzinami długiemi krążymy po placyku przed barakiem, uprząt=

jemy śnieg, kopiemy rowy dla odpływu stopniałych warstw lodu, ustawiamy wzdłuż ściany baraku stoły i ławy, wypatrujemy pilnie zmian w pejzażu, lubujemy się każdem przeobrażeniem w widoku, który przez cały miesiąc był jednaki, skostniały w uścisku mrozu.

Dulfalva, 1 kwietnia

W Wielką Sobotę pięknie zamieciono i doprowadzono do wzorowej czystości barak.

Widziałem, jak na twarzach wszystkich ryła się głęboka zgryzota. Święta w polu, zdala od domu – tak, tak, to było smutne, ale owiane specyalnym czarem. Ale święta w kryminale – –

Stąd jakaś zapamiętałość w robocie. Każdy się krzątał, każdy skądeś coś wydostał, trochę słoniny, parę jaj, białą bułkę, odrobinę kiełbasy, flaszczynę;

Chór nasz wyćwiczył się niczem grzeczenie zawodowych śpiewaków; ksiądz odbył x narad i prób celem urządzenia rzetelnej Resurekcyi; tylko że salwy karabinowej nie będzie... boć nam przecie zabrano wszelką broń...

Zapadł mrok... Jak cienie się snują po placu przed barakiem

ludzie... Kapla znaleźć nie mogą...

Między dwoma tapczanami ustawił porucznik Gutek deskę. Na siano dał kilka ręczników. Jadło święcone na nich spoczywa. Wiją się między talerzykami pełnymi kiełbasy i jaj, między flaszkami rumu i cienkusza gałązki, zielenieje młodziutkie borowie. Dwie kopcące świeczki flankują podbudowaną deszczułkę, wciśniętą między dwa tapczany.

Zebrało się tu kilku starych druhów. Przyszedł na chwilę pułkownik i podpułkownik, przyszła z kolei starszyzna, kapitanowie i porucznicy, ~~[illegible]~~ dzielą się święconem jajkiem i podają sobie dłonie w wymownym, twardym uścisku...

Idą śpiewy, takie rzewne, ciągnione, [illegible]...

Idą potem głośniejsze, coraz głośniejsze, huczne, dudniące, buchają, rwą, kołtunią. Trzeba z serca, z duszy, z trzewi coś wyrwać, to, co tam dusi!

Migocą dwie świeczki i bielą się ręczniki – a na obu tapczanach siedzi tych kilka postaci i upaja się, przegaduje się, przekrzykuje.

A tam w drugim końcu baraku dookoła kapitana Modelskiego młódź chorążych ze szkoły oficerskiej. Piją – nie, leją w siebie całe kadzie; zgrzani, spoceni, czerwoni, rozgłośni. Piją, pi=

ją – na umór, na rozpacz, na ból.

Dziś w nocy trzeba, musi się, utracić przytomność, świado=mość, władzę normalnego myślenia!

Wszyscy w baraku ulegamy jakiejś psychozie zbiorowej, jakie=muś szałowi gromadzkiemu. Pociąga on po kolei wszystkich! I tych cichych i tych wstrzemięźliwych i tych zawsze tak rozważ=nych.

Wychodzę na chwilę przed barak. Nasza straż dostała widocznie instrukcję, by w tę noc być dyskretnie wstrzemięźliwą. Jest niemal niewidoczną. Jno z rzadka połyskują bagnety wart...

Niebo się rozgwieździło. Stoi w oddali czarna ściana Karpat. Cicho wokół. Jno z dala szumią fale Talaboru.

A z baraku bucha światło i głosy przedzierają się przez drewnia=ne ściany. Coraz głośniej, coraz mocniej!

Wchodzę z powrotem do środka.

Opary wewnątrz baraku; tańczą w nich cienie; ze smugami światła płyną nieartykułowane głosy; tu kilku się całuje; tu kilku przystępuje i próbuje podtrzymać wciąż rwącą się nić melodyi...

Szał ogarnął cały barak. Czy mi się tylko tak zdaje, czy też barak naprawdę tańczy, unosi się w mgły, opada...

Nie, nie. Nie jestem pijany. Mało piłem. A może właśnie dlatego zdaje mi się, że barak oszalał. Szkoda, że i ja nie upiłem się...

Lepiej tym, co stracili dziś władzę myślenia. Są przez tę noc – wolni.

Wyzwolili się na jedną choć noc z brzemienia myśli...

*

W pierwszy dzień świąt zebraliśmy się u stołu jadalnego na wspólną ucztę.

Napór rzeczywistości po tej nocy szalonej zesłodzonymiał. Widoczne się to stało po ciężarze galowanym przemówień, wygłoszonych podczas dzielenia się święconem. ~~...~~

Dokoła nas wypierało zimna, twarda, nieubłagana rzeczywistość.

Dulfalva, 6. kwietnia

Wiosna.

Dulfalva, 8. kwietnia

Od niejakiego czasu mamy coraz częstsze wizyty.
Był wiceprezes Koła polskiego hr Baworowski, był marszałek polny

pomógł Rozwadowski. Ten wysoki, zasłużony generał nie uzyskał pozwolenia rozmówienia się z nami. Jedynie w towarzystwie audytora, i to poza obrębem baraku, mógł kilka słów zamienić z pułkownikiem Sikorskim; pozatem miał przystęp do nas wzbroniony... Cóż generał, ekscelencya...

Kołu polskiemu napisaliśmy już poprzednio listem, zaopatrzonym w podpisy wszystkich oficerów, a teraz za bytności wiceprezesa powtórzyliśmy:

Nie życzymy sobie interwencyi naszej reprezentacyi politycznej odnośnie do naszego indywidualnego losu; nie chcemy, aby prowadzono we Wiedniu politykę „legionową" tj. by za ulgi dla nas płacił kraj, by Koło jakieś koncesye rządowi czyniło gwoli uwolnienia nas lub choćby ulżenia nam. Kraj ma takie potrzeby, tak ważne i miliony ludzi obejmujące postulaty – iż oddzielić od nich gruntownie potrzeba los kilku tysięcy żołnierzy polskich, którzy śnili o wielkiej, wolnej Polsce, a sen swój odpokutować muszą w więzieniu. Związek przyczynowy między nami a wskazaniami narodowej polityki jest – lecz oportunistyczna polityka dnia codziennego nie może uzależniać bytu kilku tysięcy ludzi od fluktów zakulisowych wiedeńskich „pertraktacyi."

Toteż, sądzę, że dobrześmy zrobili, prosząc, by Koło nie łączyło się z naszym losem, przyszłością, zaś od rządu twardo domagało tego, co kraj potrzebuje.

Byle tylko w tem do końca wytrwało!

Dulfalva, 10 kwietnia

Dziś odwiedzili nas dwaj księża, delegaci koadjutora arcybiskupiego lwowskiego.

Nie notowałbym specyalnie tych odwiedzin – jednych z wielu w ostatnich czasach – gdyby nie pewien szczegół, który mi dawno spokoju nie daje. Pozbędę się go, gdy się z nim rozprawię na piśmie.

W swej przemowie, do nas wygłoszonej, zaznaczyli księża, iż między nami tu w więzieniu a całem społeczeństwem istnieje nierozerwalna harmonia, iż za nami stoi teraz już nie część narodu, lecz cały naród, iż dla nas wszystkie serca pukają – bo się… zrehabilitowaliśmy.

To słowo „rehabilitacya" padło już kilkakroć. Słyszałem je z kilku stron.

Ponoś „zrehabilitowaliśmy się" na dwa fronty: i wobec skrajnej lewicy i wobec skrajnego nacyonalizmu. Ponoś Wiced Socyalista z Krakowa uważa nas za „zrehabilitowanych", taksamo jak i Pafnucy Płomładarakiewicz ze Lwowa.

Kiedyśmy się bili, stali w polu, kiedy Wąsowicz szarżował, Januszajtis cudów waleczności dokazywał, kiedy szary legun wskrzeszał na świat cały tradycye rycerskie polskie, kiedy chcieliśmy budować kilkakroć stotysięczną armię, kiedy nawoływaliśmy do siły – wtedy

byliśmy „szwargelkami" czy „besclerezykami", pachołkami, R-Stelowcami, zdrajcami niemal. Wtedy z dwóch stron na nas: huzia! Wtedy „Naprzód" grzmiał i „Kurjer lwowski" wyklinał; wtedy nam przeciwstawiano zakonspirowane organizacyjki wojskowe lub odciągano od naszej idei przez skierowywanie zainteresowania publicznego do taniej filantropii; wtedy „mundur" był w poniewierce, a przemundurowanie się wczywiła cnotą narodową.

Dopiero, gdy znaleźliśmy się w – więzieniu, staliśmy się – bohaterami...

Dopiero, gdy nas zamknięto, gdy już nic dla Polski zrobić nie możemy, gdy przeciwnie: Polska dla nas składki zbiera, posyła stare koszule, gdy paskarz koi swe sumienie ofiarowaniem piątki na „biednych" internowanych w Huszt i okolicy – „całe" społeczeństwo nas kocha, admiruje, księża śpieszą do nas (na Wołyniu i Besarabii i w Karpatach ach jakby się niejeden legun był wyspowiadał z trosk dusznych).

A już najlepsze to „zrehabilitowanie się".

To znaczy, że bijąc się za Polskę, grzeszyliśmy, chcąc wywalczyć jej wolność siłą, a nie antyszambrowaniem, modłami, śpiewami, wiecami, rezolucjami – błądziliśmy...

Czyżby więzienie „Sybir" w rozmaitych formach miał być jeszcze „rehabilitacyą", przeproszeniem P.T. nas za to, że jednostki ośmie=

biły się za nich, wywalczać wolność?

Doskonale na przemowę Księży odpowiedział pułkownik. Przy całym respekcie, dziękując za pamięć i dobre słowa – zaznaczył jednak wyraźnie, że zaprawdę nie jesteśmy marnotrawnym synem, wracającym na łono matczyne, by tam w pasywiźmie zginąć, że nie uważamy się za rehabilitujących się grzeszników.

Społeczeństwo cieszy się, żeśmy złożyli broń i dlatego nas admiruje. A my przeciwnie: nas złożenie broni, bezczyn, głęboko smuci. My nie złożyliśmy broni, by się podobać – lecz z wewnętrznego musu.

Ci, co dawniej wcale za broń nie chwytali lub oddawali ją (i w r. 1914 w Krakowie i w r. 1917 w Warszawie) z nakazów partyjnych, z urażonych osobistych ambicyi, ci z nami mierzyć się nie mogą.

Bo II. Brygadę nie z obowiązku służby narodowej, z raz powziętej linii wywrzeć nie zdołało, iżo sprawa ogólno-narodowa. Z każdego kryzysu przechodził za zwycięzko, żadna partyjna agitacya zachwiać nią nie mogła, żadne antagonizmy osobiste jej nie wykołysały, nie oglądała się na prawo i na lewo, na pasywistyczne podszepty i na warcholskie miny – dopiero, gdy naród, ideę państwową usiłowano zgnieść, wtedy impulsywnie, nie licząc się z niczem, nie mierząc sił, ofiarując swe życie, przyszłość – żołnierz II Brygady silnie zareagował.

Niechże nie chciałby więcej o „rehabilitacyi" nie mówiono!

Dulfalva, 15 kwietnia

Od kilku dni wprowadzono znów obostrzenia. Nie wolno krokiem wyjść poza obejście, nawet w asyście eskorty nie wolno się przespacerować. Odwiedziny są zakazane. Poczta nie dochodzi.

Straż stała się brutalną. Wieczorem wyjść się nie można z baraku. O godz. 9. światła muszą być pogaszone.

A tu wiosna w całej krasie. Z gór dolatują powiewy ożywiające, ruń zazieleniała, słonko praży – człowiek rwie się ku swobodzie...

Dulfalva, 18 kwietnia

Jesteśmy wolni!

Proces objęty nie skończył skazaniem oficerów i żołnierzy Komendy Legionów i z pośród tych, których przychwytano podczas przechodzenia.

Reszta jest z pod odpowiedzialności sądowej uwolniona.

Dziś rano autem przyjechał eksc. Szylling i... gratulował nam. Sąd uznał, że nie ma podstaw do dalszego ścigania nas, więc – jesteśmy wolni. Że jednak Korpus jest rozwiązany, więc poddani Królestwa zostają nadal internowani, zaś wszyscy poddani austro-węgierscy muszą nadal spełniać powinności wojskowe i to w rangach podoficerskich-

wzgl. żołnierskich — na froncie włoskim.

Mamy się więc przygotować na to, że w najbliższych dniach zostaniemy rozdzieleni: Królewiacy pójdą do obozów koncentracyjnych i tam mają oczekiwać albo końca wojny albo wyników pertraktacyj z rządem polskim co do ich dalszego losu, zaś poddani austryaccy zostaną zawagonowani i odtransportowani do „Isonzo-Armee", do Udine.

Powiedział i pojechał.

A my zostaliśmy w nastroju, który trudno, bardzo trudno określić. Kotłuje w każdym, kłębią się myśli...

Każdy czuje: znów poczyna się nowy okres w twem życiu, znów wypływasz w burzliwe odmęty...

Straże zniknęły. Wolno pójść do wsi; barak nie jest strzeżony. Jno na rubieży wsi posterunek. Wydalać się z miejscowości nie wolno. Zresztą swoboda ruchów.

Co tam przyszłość! Na razie upajamy się tą odrobiną swobody. Chłopcy rozbiegli się. Przy obiedzie ich było kilkunastu, na kolacji zaledwo kilku. Włóczą się, kąpią w rzece, spacerują w lesie, gwarzą w karczmie.

Dulfalva, 20 kwietnia.

A więc pojutrze. Dziś nadeszły rozkazy. Pojutrze stąd odcho-

dziny.

Wszystkich Królewiaków z Huszt, Bustyaháza, Szeklencze, Saldobosz, Dulfalva i innych obozów ściągnie się do Taracköz.

Nasz transport do Udine odejdzie 23go nad ranem.

Musimy się na wyjazd przygotować. Bagaż oficerski trzeba zdeponować, bo tam na froncie będzie ino zawadzało.

Wszyscy piszą. Na cały świat idą listy, pisma.

Dulfalva, 22 kwietnia

Ostatni dzień przed wyjazdem do Włoch.

Wszystko popakowane. W nocy o godz. 3. ruszamy.

Pod wieczór ustawiliśmy się na placu. Rzędem wedle starszeństwa. Setka oficerów polskich, którzy od jutra są żołnierzami austryackimi. Każdy w polowym mundurze, w pasie z orłem polskim, w rękawiczkach.

Ostatni raport...

Już słońce za góry szło i cienie wieczorne snuć się poczynały, gdyśmy po raz ostatni przystąpili do funkcyi wojskowej w mundurze polskim i przed zwierzchnikiem polskim.

Każdy to czuje i stąd skupienie, głęboka powaga.

Każdy stoi wyprężony, a ino serce mu kołacze w piersiach. Od

strony baraku podchodzi pułkownik.

Przed nas występuje podpułkownik.

— Baczność!

Składa raport. Ostatni raport...

A potem głosem łzami zdławionym odczytuje adjutant ostatni Rozkaz Oficerski:

„Opuszczając ostatnie stanowisko, które nam wyznaczyła polska służba narodowa, schodzimy zeń na mocy rozkazów niezależnych od naszej woli, składając równocześnie to oficerskie ślubowanie, że ideałom i nakazom, które nas dotychczas obowiązywały, i nadal pozostaniemy bezwzględnie wierni.

Przed 3½ laty podnieśliśmy w Grodzie Podwawelskim sztandar niezależnego polskiego czynu, rzucili hasło zbrojnej walki o niepodległość, całość Ojczyzny.

Sztandarowi temu pozostaliśmy wierni przez cały czas obecnej wojny, w każdej choćby najcięższej potrzebie. Ta garstka niezłomnych rycerzy, którymi Legiony Polskie są i dziś, nie ugięła się pod obuchem prześladowań ze strony obcej, nie zniechęciła pod wpływem bez=ruchu i bezwoli własnego narodu.

Legiony Polskie przetrwały wszystkie przeciwności. Nawet i tę najcięższą, która jest wynikiem niezrozumienia i nieuszanowa=

nia przez własny naród idei, którą one reprezentowały. Szarpały
organizmem Legionów wynikające stąd burze wewnętrzne i spory.
Były one prostą konsekwencyą niemożności zrealizowania tych
haseł i programów, do których wypełnienia powstane były Legiony
Polskie. Jest dziś więcej niż kiedykolwiek rzeczą pewną, że
tak ze względu na swe wartości bojowe jak i ze względu na
wewnętrzną wartość ideową, Legiony Polskie, zorganizowane
w r. 1914 na ziemi polskiego Piemontu – w Galicyi, nadawały się
i nadają w pierwszym rzędzie do objęcia roli kadr Wojska Polskiego

Nie z naszej winy silna armia narodowa, owa jedyna
ostoja pełnej niepodległości i siły polskiego państwa, pozostała
dotychczas jeno marzeniem żołnierzy, którzy za ten ideał krew
przelewali – jak i na razie nieziszczalnym programem.

Cios, który państwa centralne wymierzyły Polsce w Brześciu
Litewskim, był jedynym, który doprowadził do formalnego znisz=
czenia Legionów. Nie mogąc swej Ojczyźnie tak jak tego chcie=
liśmy służyć skutecznie przez siłę pozytywną – złożyliśmy
na jej ołtarzu największą jaką żołnierz może złożyć ofiarę, bo
ofiarę z własnej wolności, z własnej broni i z ukochanego
tak przez nas wszystkich polskiego munduru.

W tym momencie dla nas wszystkich przełomowym,

w którym rozchodzić się zdają niekiedy nasze wspólne drogi, przypominam Wam, polscy oficerowie, że wszystkie zasadnicze walory, którymi zabłysnął polski żołnierz na tylu placach bitew obecnej wojny oraz tylu placówkach narodowej pracy. Przedewszystkiem zaś przywodzę Wam w pamięć to ukochanie idei, ofiarny patryotyzm i wypróbowaną soli=darność, jaka zawsze cechowała Legiony Polskie.

Nazwa Polskich Legionów przestała istnieć. Żyje jednak wśród nas ta idea nieśmiertelna, która stworzyła za=wiązek Wojska Polskiego, która je ożywiała w ciągu 3 1/2 letnich zmagań i która nas dalej, solidarnych w poczuciu słuszności sprawy, poprowadzi w bój o święte i przyrodzone prawa narodu.

W ogniu wypadków wojennych zahartowani, solidarnością idei złączeni, wrócimy jeszcze do warsztatu pracy narodowej nad odbudową własnej państwowości. Być może, że zewnętrznie będziemy rozdzieleni; być może, że staniemy na odmiennych posterunkach; wszystkich nas jednak prowadzić będzie i dalej po wspólnej drodze walki ideał niepodległego państwa polskiego, opartego o własny, niezależny od postronnych wpływów rząd oraz o silną armię narodową.

• W imieniu Służby Narodowej żegnam obecnie Panów...

Na ziemi węgierskiej, którą oswobodziliście w r. 1914 od najazdu wroga, rozgrywa się ostatni akt tragedyi legionowej. Przywodzę na Waszą pamięć świetne rycerskie czyny Legionów, których początkom świadkiem była właśnie ta ziemia węgierska, wzywam Was, byście w obecnej i przyszłej chwili nie poddawali się zwątpieniu, zawsze zaś i wszędzie zachowali się tak, jak tego od polskiego żołnierza i oficera wymaga polska godność i duma narodowa."

<u>W wagonie kolej., 23. kwietnia</u>

Nieprzenikliwa ciemność panowała, gdyśmy o 3 nad ranem ruszyli w drogę. W oddali szumiał Talabor, od Karpat szły poszumy drzew w wietrze; chłód wiosennej nocy przenikał do kości.

Idziemy szosą z Dulfalvy na stacyę kolejową w Bustyahaza.

Długo idziemy w milczeniu. Poczyna się rozwidniać.

Wtem ktoś podjął pieśń:

„Wojenka, wojenka..."

I cała kolumna zawtórowała:

„...cóżeś ty za pani,
że za tobą idą, że za tobą idą chłopcy malowani..."

Idą „za wojną” z — ziemi polskiej do włoskiej...
A kiedy, jak w pieśni, z powrotem?
I z kim? Czy wstanie w Polsce i dla Polski Dąbrowski?
Czy też znów losem polskiego żołnierza będzie: kryminał i zagranica, Dulfalva: Udine, przejście z nad Czy nad Tagliamento...

B. M.

1/2 Vác

3/4 Szimc

5/6 Tyhut. fa

7. Porgte